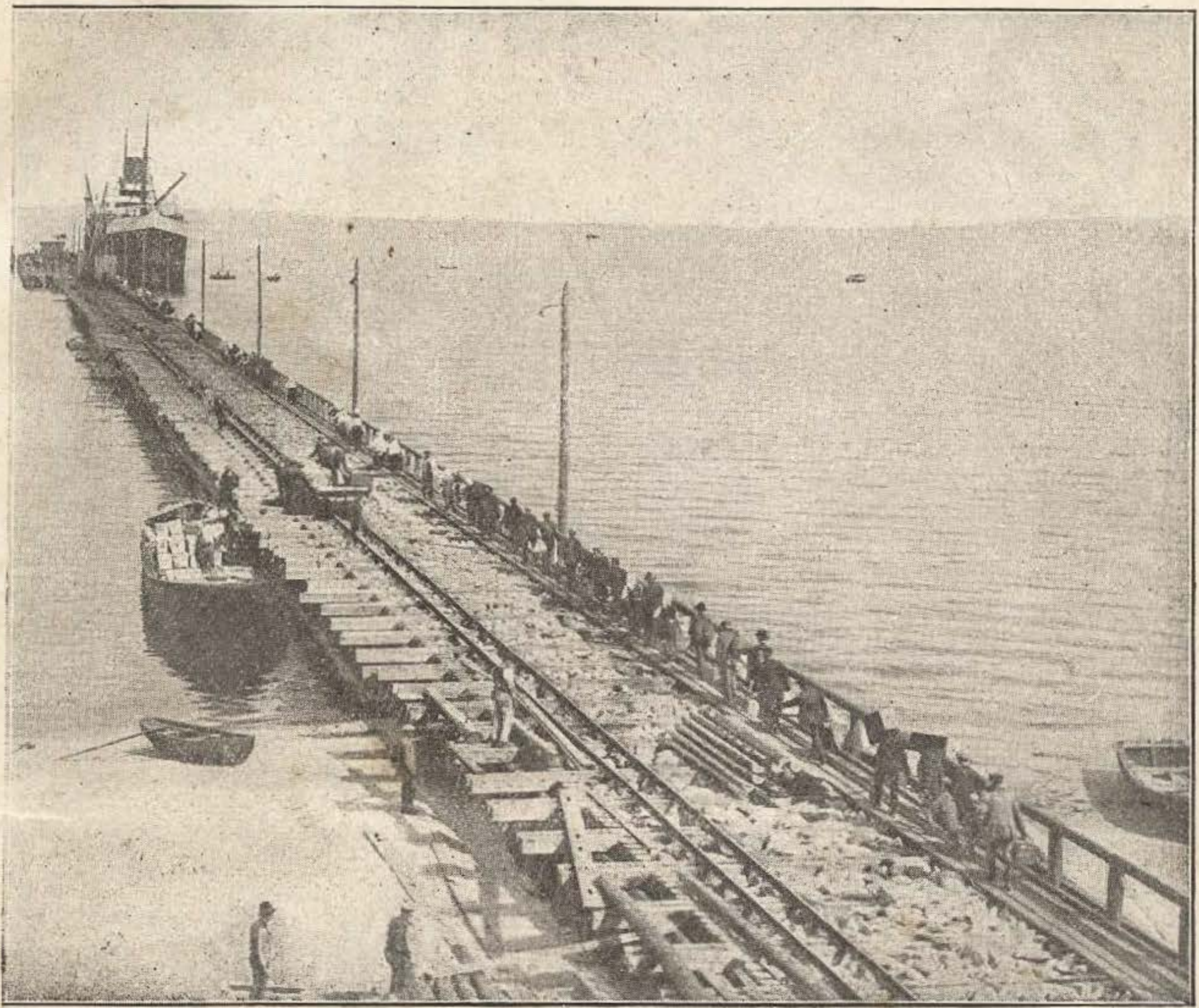


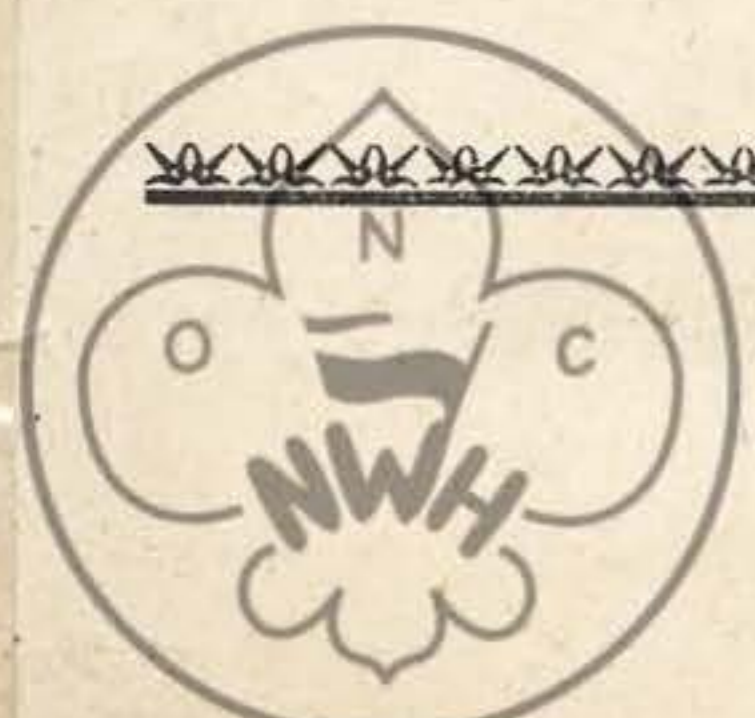
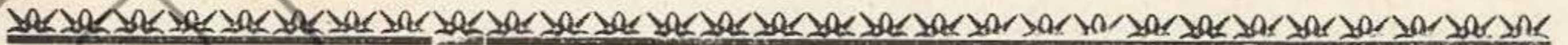
Rok VI.

Nr. 10.

HARCERZ



MOLO W GDYNI.



archiwum

Centralna Komisja Dostaw

Zw. Harc. Pol.

W WARSZAWIE—TRAUGUTTA 2.

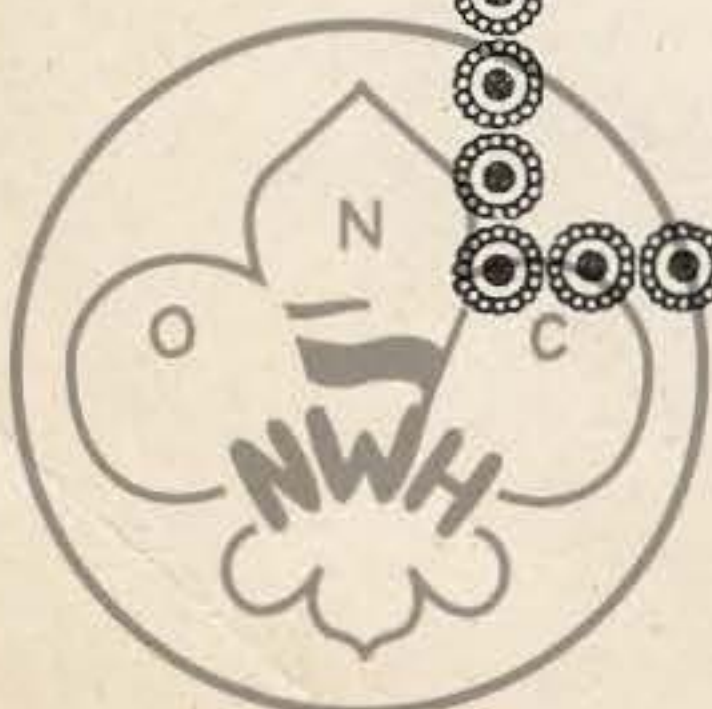
Tel. 145-54,

jako najtańsze źródło zakupu, poleca umundurowanie harcerskie i wyekwipowanie polowe, artykuły sportowe z zakresu piłki nożnej, lekkiej atletyki, tennisa, boksu, szermierki i t. p.

Oprócz tego posiadamy na składzie bardzo bogaty wybór materiałów piśmiennych oraz biurowych i szkolnych.

Księgarnia C. K. D.

posiada wszelkie książki wchodzące w zakres Harcerstwa, a również najpoważniejsze wydawnictwa z zakresu wychowania fizycznego.



H A R C E R Z

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI.

31 MAJ 1925.

Nr. 10.

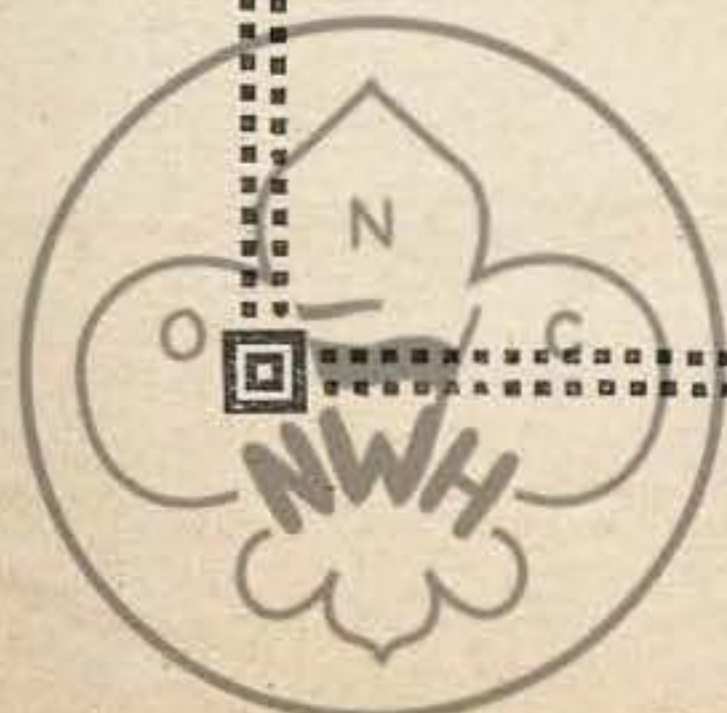
Modlitwa o czyste serce.

*Królowo róż, co w wiejskim sadzie rosną
i mają w sobie blask porannych zórz,
duszę nam daj, jako ten kwiat radosną,
Królowo róż, Królowo róż...*

*O Matko pszczół, które na życia gody
najśłodszy miód zbierają z wonnych ziół,
Marzenia daj nam słodkie, jako miody,
o Matko pszczół, złocistych pszczół...*

*Królowo fal, co czyste i przejrzyste
z kwiecistych źródeł płyną w jasną dal...
Serca nam daj, jak leśne źródło czyste,
Królowo fal, błękitnych fal...*

Juljan Ejsmond.



archiwum

II. WSPÓŁCZESNE MAZURY.

Trudno jest dziś ustalić liczbę Mazurów pruskich, albowiem ostatnie statystyki — a w szczególności sporządzana w roku bieżącym — są wykonane¹ tendencyjnie. Spis ludności z dnia 1 grudnia 1905 r. wykazuje w powiatach Ostródzkim, Niborskim (łącznie z Działdowszczyzną), Szczycieńskim, Żądźborskim, Janiborskim, Łeckim, Leckim, Oleckowskim i Węgoborskim ludności polskiej: w miastach 8974, po gminach wiejskich 212.412, w majątkach rycerskich, będących niemal wyłącznie w rękach niemieckich 21,725, ogółem 243,181, podczas kiedy ludność niemiecka wynosiła 179,048 głów. Z tej liczby duża część to tak zwani dwujęzyczni, używający polskiego na równi z niemieckim. Na emigracji, w szczególności w kopalniach westfalskich przebywało wielu Mazurów, przed wybuchem wojny stanowili oni $\frac{1}{3}$ część emigracji. Dziś według danych niemieckich 50 tysięcy Mazurów przebywa w Berlinie.

Statystyka młodzieży szkolnej z roku 1911 wykazuje:

niemieckich dzieci szkolnych	29.457,
polskich	14.695,
mazurskich	34.788,
niemiecko-polskich	5.658,
niemiecko-mazurskich	16.762.

Przyznany Polsce przez Traktat Wersalski bez plebiscytu powiat Działdowski liczy podług spisu z dnia 17 czerwca 1920 r. 24.074 dusz, osiadłych na 48.704 hektarach.

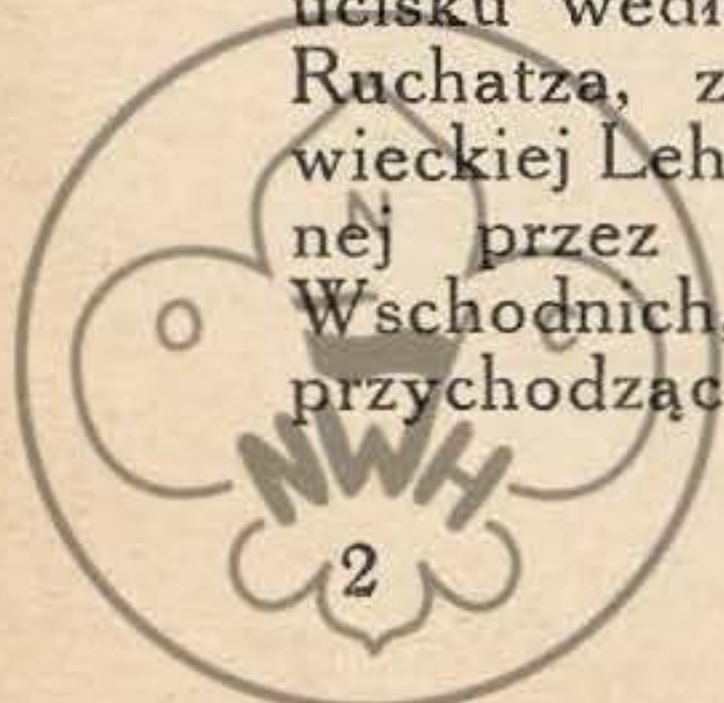
Dziś mimo coraz to silniejszej germanizacji i coraz to większego ucisku według odezwy nauczyciela Ruchatza, zamieszczonej w Królewieckiej Lehrer-Zeitung, a powtórzonej przez wszystkie pisma Prus Wschodnich, 50% dzieci mazurskich przychodząc do szkół zna tylko gwa-

rę mazurską, 30% używa mazurskiego na równi z niemieckim.

Nie masz dziś ani jednej szkółki polskiej nawet na polskiej niegdys Warmji i Powiślu. Na tych obszarach dla ludności polsko-katolickiej nauczają w 16 szkołkach po 2 do 4 godzin tygodniowo polskiego języka, istnieje nawet pozwolenie (ale tylko na papierze) na otwarcie gimnazjum polskiego w Olsztynie. Na Mazurach ewangelickich język macierzysty wyrugowany jest zupełnie. Działwie pod surową karą zabrania się rozmawiania po polsku, karząc za podobne „przestępstwa“, nie przebiera się w środkach. Znany jest system piętnowania po polsku mówiącego dziecka jakimś klockiem czy figurką wystruganą z drzewa, a noszącą nazwę „polaka“ lub „polskiego osła“, zmuszając ofiary do szpiegowania kolegów dla pozbycia się piętna. W końcu tygodnia ostatni napiętnowany odbiera cięgi. Głośno pisano w gazetach o podobnych zwyczajach panujących we wsiach: Waplewie, Wujkach, Jerutkach i innych.

Młodzież, która w ciągu okresu szkolnego germanizuje się, uczy się tylko na niemieckie kazania, stare zaś pokolenie, przywiązane do polskich kancjonałów (śpiewników) i postyll, w domach swoich odprawia modły, wysłuchuje przemówień domorosłych kaznodziejów, biegłych w piśmie św. W ten sposób powstała sekta t. zw. „gromadkarzy“, dbających o niezwykle wysoki poziom moralny.

W południowej części Mazowsza, szczególnie na pograniczu polskiem mieszkają katolicy - mazurzy, stanowiąc 8—10% ogólnej liczby ludności, czyli około 35 tysięcy. Są oni potomkami późniejszych już kolonis-



tów. Niektóre wioski, mimo że należały do Królestwa Pruskiego, zaliczone były do parafji grajewskiej jeszcze w 19-yim wieku, chrzciliy dzieci, zawierały śluby na terytorjum polskiem.

Do pomocy przy prowadzeniu skuteczniejszej germanizacji przez szkoły i kościoły stanęły organizacje antypolskie bojowe „Heimatdienst“, „Stahlhelm“, „Wehrwolf“ — oraz świeżopowstały zakon krzyżacki. Tropią owe organizacje wszelki odruch polskości, za rozmowę w języku mazurskim na ulicy, placu publicznym, otrzymują Mazurzy cięgi bądź od band zorganizowanych, bądź od pojedynczych uzbrojonych w kije „patriotów“. Śpiew polski, podobnie jak mowa, pociąga także konsekwencje.

W sądownictwie sprawiedliwości szukanoby napróżno. Wystarczy, aby oskarżony zeznał, że oskarżyciel jest Polakiem lub polonofilem, zapewnił sobie bezkarność. Niemiec, którego Polak skarży za zniewagę lub okaleczenie, otrzymuje karę — 33 fenigów, o ile nie bywa zupełnie uniewiniony. Mazurowi natomiast, podejrzanemu o sprzyjanie polskości, lub Polakowi za najdrobniejsze przewinienie, przysądzają 6 miesięcy więzienia*). Bandy, złożone z kilkudziesięciu osób, demolujące domy Mazurów, bywają przez sądy uniewinniane. Dwaj synowie gospodarza Bogumiła Linki—zasłużonego działacza plebiscytowego, zabitego w r. 1920 przez bandę „patriotów pruskich“ — skazani zostali pod pretekstem kłusownictwa na 11 i 12 lat domu karnego, przytem sędzia w wyroku specjalnie podkreślił „przestępstwo“ ich ojca.

*) Stan. Sierakowski. Denkschrift des Verbandes der nationalen Minderheiten in Deutschland.

Osiadły wśród wielkich rozlewnych jezior—wśród których najważniejsze: Śniardwy, Mamry, Lewiatyńskie, Nidzkie, Warszawskie, Dąbrowskie i wiele innych, skąd kraina otrzymała nazwę „kraju tysiąca jezior“—lud mazurski bogato uposażony był w przywileje gospodarcze, jako to wolne rybołówstwo, wolne paśniki oraz obszary leśne, dziś ograbiony jest ze wszystkich bogactw przyrodniczych, oddany na łaskę i niełaskę swych władców i ciemżców niemieckich, którzy, pragnąc do reszty wyrugować lud z jego piaszczystych, pełne granitowych brył, pozostałości pralodowca — osiedlają tam, na najżyźniejszych polaciach Niemców kolonistów. Wszelkie spółki handlowe, banki i inne t. p. instytucje znajdują się wyłącznie w rękach obszarników niemieckich. Lud mazurski zupełnie jest nich zależny, aby uzyskać pomoc, zmuszony jest wypierać się publicznie swej narodowości. Nie czyniący tego, jest przez prusaków w różny sposób bojkotowany. Jeśli na kogoś padnie podejrzenie, że jest polakiem lub że brał udział w akcji plebiscytowej—która ze strony polskiej dla teroru niemieckiego nie była możliwą — wtedy uważają go za wykluczonego poza nawias społeczeństwa: posypią się nań kary administracyjne, ogłoszą go w nacjonalistycznych gazetach, a wtedy każdy, nawet przyjaciel, który nie chce na swą głowę ściągnąć podejrzenia, unika nieszczęsnego. Nie dość na tem, — bandy „Stosstrupplerów“ napadają dom, strzelają z za węgla, a wówczas rodzina potępieńca zmuszona jest uciekać poza granice. A wtedy nowa trudność: nie może się wyzbyć nieruchomości, zatrzymują mu niekiedy do 80% własności na zasadzie specjalnego prawa wojennego i tak dalej...

Urzędników lub nauczycieli za tak



naturalny objaw jak interesowanie się sprawami rodzimymi, czytanie pism polskich przenosi się z Prus „służbowo“ do wewnętrznych prowincyj niemieckich. W celu izolowania Mazurów od wpływów polskich, wszczęto w ostatnich miesiącach energiczną kolonizację wzdłuż granicy.

Nazwiska zamieszczone na sztydach we wszystkich miastach Prus Wschodnich wskazując na polskie pochodzenie ich właścicieli, w Królewcu zatarto wszelkie ślady polskości, zamknięto po archiwach i bibliotekach, nazwa „polnische Schulstrasse“ stała się tylko pomnikiem, na grobie świętości polskiej — zapanowała niemieckość.

Zdala jednak od miast, w wioskach, o starych polskich nazwach, w chatach zdobionych rzeźbami, pod strzechami słomianymi, na skraju szumiących puszczy, wśród jezior i moczarów — przechowały się stare tradycje przodków, zwyczaj, zabobny, przysłowia, przetrwał język „złoty czasów“, język Reja i Kochanowskiego, zaklęty w poźółkle postylle i kancjonały, najulubieńsze księgi Mazurów.

Słysz się jeszcze owe piosenki o tem, jak to — „w ciemnym lasku ciemnym słowiki śpiewają, mojemu najmilejszemu konika siodłają“, lub też jak te „wyplnęła rybka z bystrego jeziora, płakała dziewczyna z ranka do wieczora“, o „koniach bronnych“, o nieszczęsnej sierocie, co jej „chleb krajali, jak klonowy listek, jeszcze się pytali, czy go zjadła wszystek“. Powszechnie znana jest stara pieśń żaków:

„Kto da dziatkom w nauce wychowanie“,

„To lepiej, niżby zbierał skarby na nie“.

a także pieśni żeńców:

„Pola już białe, kłosa się kłaniają,
Stworzycielowi pieśń i chwałę dają“.

Przechowały się niektóre tradycyjne obchody, jak to dożynki, a dziewczęta po każdej przez siebie skomponowanej stroficy śpiewają refrent „Plon niesiem plon“ i t. d.

Legendy, klechdy i baśnie mazurskie wiele mają pierwiastku polskiego. I tak gospodarz Konopka ze wsi Ogonek, co z djabłem wojował, wydaje się być rodzonym bratem mistrza Twardowskiego, polską jest owa wiejska dziewoja przedająca złoto ze słomy, a poślubiona księciu, polską jest karczmarka z Nakomiad, którą djabeł w czarną kobyłę zamienił, wreszcie szczerze polskimi są owe legendy, które oplotły wiekopomne zwycięstwo pod Grunwaldem.

Krajobraz mazurski ma wiele wspólnego z krajobrazem sąsiednich ziem polskich — to dalszy ciąg borów Tucholskich, ziem Kaszubów i Puszczy Kurpiowskiej. Wymową swoją Mazur przypomina Kurpia, mówiąc „biały“ zamiast „biały“, „ziara“, zamiast „wiara“, „psienądz“ zamiast „pieniądz“. Cokolwiek odmienna jest wymowa warmiaka i mieszkańca powiśla. Chałupy, budowane na zrąb, szczytem, sparogami, okiennicami i ogólnym charakterem przypominając chaty kurpiowskie. Badacz niemiecki, prof. Krüger w swojej rozprawie o domu mieszkalnym warmińskim przyznaje, że chata taka trzyma się pierwowzoru słowiańskiego. Nazwy wiosek porzucanych nawet w powiatach królewieckich i głąbińskich przetrwały w dawnym swym brzmieniu, jak Olszówka, Brzozówki, Wierzbowo dodano mi tylko końcówki „en“ lub zamieniono „owa“ na „au“. Nazwy miast, tak niemieckie, zda się, jak „Neidenburg“



i „Weilburg“ są według Oskara Kolberga polskiego pochodzenia; Nibork to polski Niedzbórz, Niedzborek, Niborek, Wilbark—Wielkobórz. Zresztą końcówka „burg“ w Prusach Wschodnich pochodzi od słowiańskiego, „bór“ czyli sosnowy las*)

W tych wioskach mazurskich, szczególnie na pograniczu Warmji powstają koła ludzi uświadomionych, którzy zaczynają pracę nad ludem „Powstało Zjednoczenie Mazurskie“ i „Towarzystwo Młodzieży“, w Szczytnie wychodzi od 2 lat pismo „Mazurski przyjaciel ludu“, przedostaje się też „Gazeta Mazurska“, wydawana dla Mazurów działkowskich, rozchodzi się kalendarz, broszurki, wszystko jednak drukowane gotykiem, czyli t. zw. „krakowskim szryftem“ na intencję pierwszego drukarza książęcego Maleckiego z Krakowa, Warmja jednak zna tylko łacińskie czcionki, takimi drukuje się „Gazeta Olsztyńska“.

Niemcy widzą i czują, że coś się w Prusach dzieć zaczyna, podnoszą alarm, że temu winno oder-

wanie Rzeszy (Prusy były zawsze kolonią, nigdy nie należały do starożytnego cesarstwa niemieckiego, upadłego 1806 r. Nie należały z racji swego kolonialnego charakteru nawet do federacji niemieckiej, która istniała od 1815 do 1866 r.) Dopiero w 1867 zostały wcielone do „Deutsches Reich“. Po wojnie franko-pruskiej dzięki kontrybucji, którą na podniesienie „kultury“ niemieckiej przeznaczono, podniosły się i zrównały, jako integralna część Niemiec.

Nienawiść Prusaków do wszystkiego co polskie staje się co raz większą obawą przed odrodzeniem żywioła polskiego w Prusach, spędza sen z powiek „patriotów“. Dlatego tak rozpaczliwie woła w swej zesłorocznej odezwie nauczyciel Ruchacz.

„Tak, jak się warunki na Warmji i Mazurach przedstawiają, wystarczy jeden rok okupacji polskiej, oby Bóg nas od tego strzegł — a niemieczyzna w kraju granicznym zniknie“.

O tem i Polska pamiętać powinna.

Emilja Sukertowa.

*) Oskar Kolberg. Mazowsze IV. str. 73.

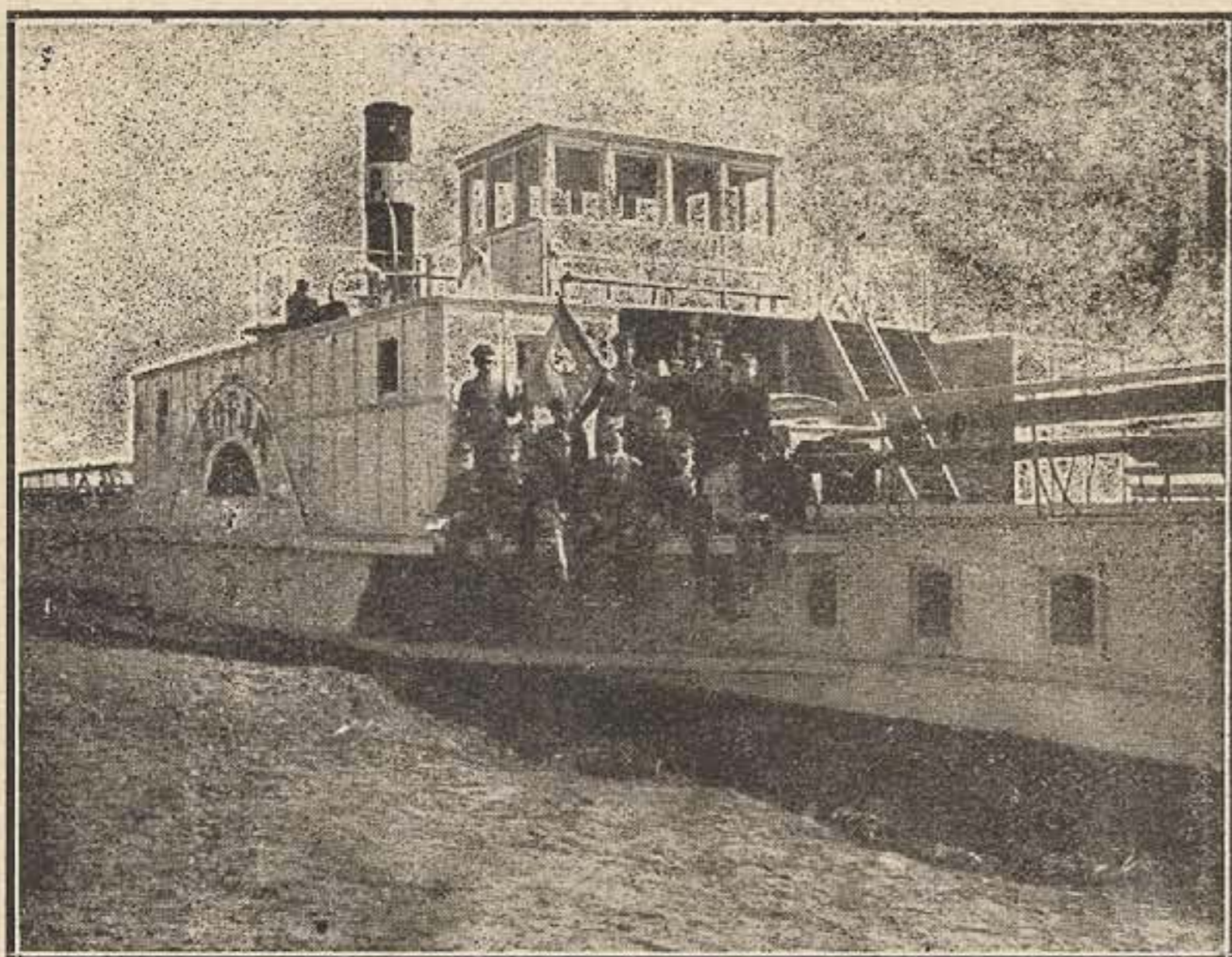
U SKAUTÓW RZYMSKICH.

Dostałem właśnie list od jednego ze swoich zastępowych, w którym mnie prosi o lilijkę polską i (co za śmiałość! — widocznie czuje się bardzo bezpiecznym na tak daleki dystans, że sobie śmie drwić z drużynowego) pisze, że pewnie teraz w Polsce opowiadam o skautach włoskich, że są bardzo dzielni, karni, pracowici!!!! (sześć wykrzykników), tak, jak im w Rzymie zawsze stawiałem za wzór polskich harcerzy. Otóż mylisz się, moj Carlo, bo muszę wyznać,

żeście to samo warci, co polscy chłopcy, tylko u was przy południowym temperamentem cnoty i wady wyrażonej występują. Taką przemądrzałą i niespokojną gromadę, jak trzecia drużyna rzymska, z trudem znalazłbym w Polsce. Na dworze to jeszcze pół biedy, ale kiedy tak czasem w niedzielę rano zbiórka była naznaczona, a deszcz zaczął padać, to godzinę, półtorej, można ich było zatrudnić, ale potem, jakby zły duch we wszystkich wstąpił, podrygiwali



na ławkach, ręce i nogi latały, śpiewając darli się, jak dzieci szatana, przewracając śmiejącymi oczami, że instruktorzy byli bezradni, jak kura,



której kaczątka wypłynęły na rzekę, a sama niespokojnie biega po brzegu.

Na szczęście takie rozbrykane chwile należały do wyjątków, bo zwykle byliśmy w najlepszym porządku. Co prawda trudnoby było żądać od nich przy zbiórkach tej uroczystej powagi i spiżowej nieruchomości, jaką się u nas spotyka na apelach i raportach. Ale widząc na własne oczy, jak na placu musztry żołnierz strofowany tłumaczy się oficerowi: „Ma senta...“*) z odpowiednią giestykulacją, nabrałem stąd przekonania, że Włoch prędzejby umarł, zanimby się przyzwyczaił do polskiej, albo niemieckiej dyscypliny.

Natomiast inicjatywy ma może więcej; nie nudzi się nigdy, bo sobie znajdzie sam zatrudnienie. Ma wielką swobodę w obcowaniu, co mu

*) Mniejwięcej: „Ależ panie!”

niestety pozwala pędzić godziny całe na pogawędkach, patrząc, jak inni pracują. Ale, żeby Włosi byli leniwym narodem, temu muszę zaprzeczyć. Tam praca w winnicy czy w polu jest mozolniejsza niż u nas, bo równa się ogrodowej. Sklepy i warsztaty są czynne od świtu słońca do późnego wieczora, niestety nieraz i w niedzielę. A robota idzie od ręki! Moi chłopcy, jak się zabrali do dzieła, to praca aż paliła się pod rękoma i nie potrzeba było wiele wskazówek, bo byli zgrabni i pojętni, nie czekali, aż im się łopata coś wbije w głowę, ale informowali się sami i szukali własnych dróg. Potrzeba tylko było silnej za-

chęty i wielkiego wysiłku, aby zapal nie zgasł. Wtedy wielu odpadało, ale ci, którzy wytrwali, dochodzili wkrótce do wielkiej perfekcji i zadzi-



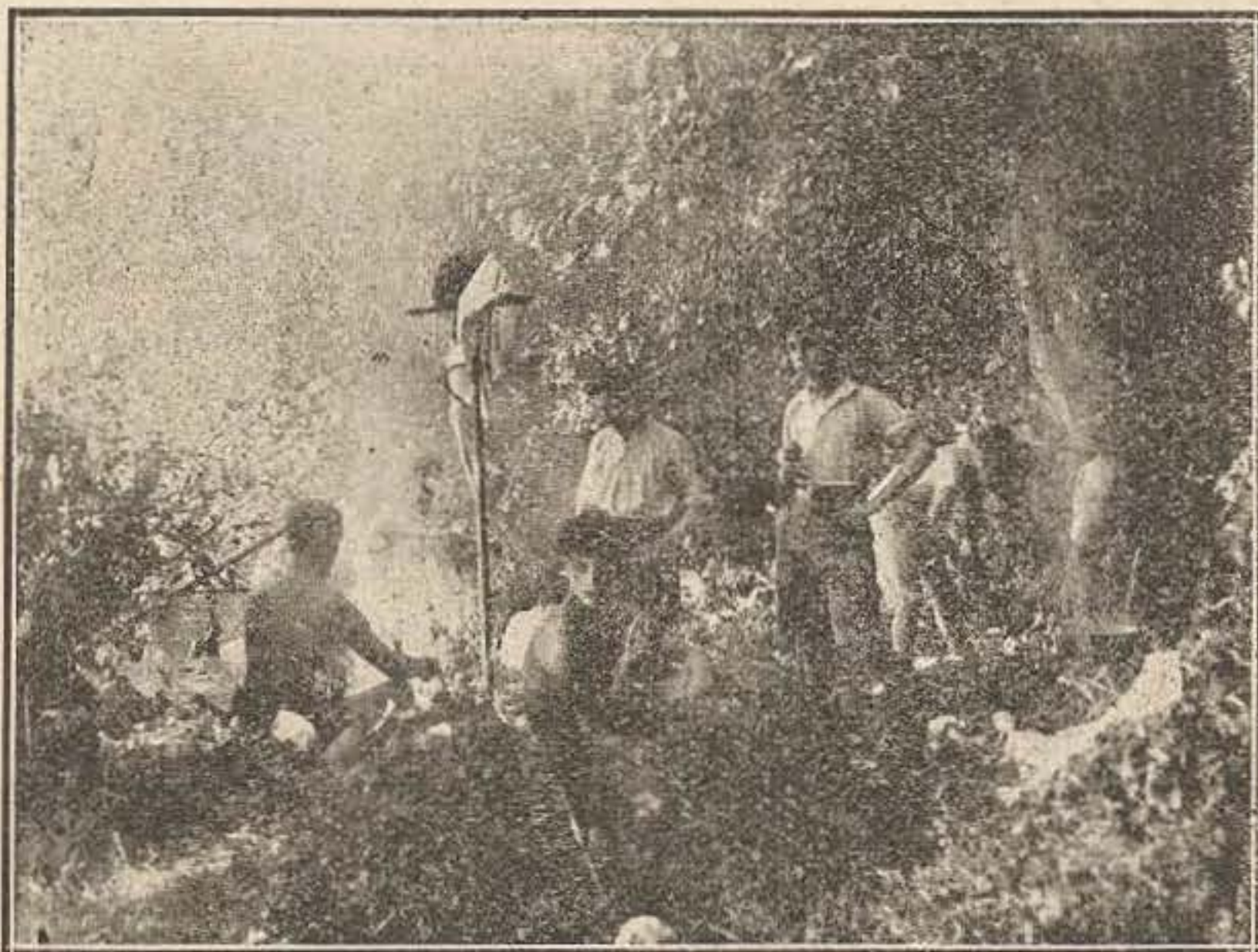
wiali swojemi dziełami zawodowych rzemieślników i artystów.

Gdy po kilkomiesięcznej podróży po Arabji i Egipcie wróciłem do drużyny, zastałem warsztaty pyłem po-



kryte i zdewastowane. Zaraz po moim wyjeździe zaczęła się była wojna domowa. Proboszcz parafji i pan domu rozporządził, że w niedzielę rano będzie nauka religji, a jedna niedziela w miesiącu miała zostać wolną na większe wycieczki. Nie wchodzę w to, czy miał rację, w każdym razie miał do tego, wedle statutu A.S.C.I., prawo. Wykład religji nie jest we włoskich szkołach uregulowany, jak u nas, a jedynie w niedzielę można było ludzi zebrać. Drużynowy, porządny człowiek, ale wielka gorączka i nietęgi dyplomata, razem z innymi zrobił rewolucję, a widząc, że nic nie wskóra, bo i naczelnictwo było przeciw niemu, wycofał się z pracy i zostawił znów na barkach polskich wielki bałagan. Józef Piotrowski pchał pracę dalej; syn inżyniera,

śląscy trochę włoskich żołnierzy narzaskali i wielkie było z tego powodu na Polskę oburzenie, nie łączając drużyny, odpowiedział ko-



składa w lecie maturę, wykapanę Włoszatkę, z polską mową trochę kiepsko, ale serce prawdziwie polskie. Kiedy to powstańcy górno-

legom: „Po co tkacie swoje palce między drzwiami? Wy Włosi zawsze się Niemcom przymilacie, my Polacy idziemy z Francją. Jak przyjdzie do wojny, to zobaczycie, jak was polscy żołnierze nabiją!” Poszli o to naskarzyć na niego do ojca.

Podczas ogólnego wzburzenia umysłów przeciw zamachowi władzy duchownej na wolność drużyny wymyślił ktoś do mojej piosenki na melodję: „Wrony konik w lot biega“ na ks. proboszcza zwotkę: „Nostro Padre Trani, Trani, Trani ci tratta come i cani, cani, bum!”*) Śpiewkę tę, zaczynającą się od słów „Nostro Padre Tobia, Tobia, Tobia rovina la sotana, sotana, bum!” chłopcy chętnie śpiewali. Ma ona już kilkadziesiąt zwrotek, bo na każdego z dru-

*) Nasz O. Trani traktuje nas jak psów.



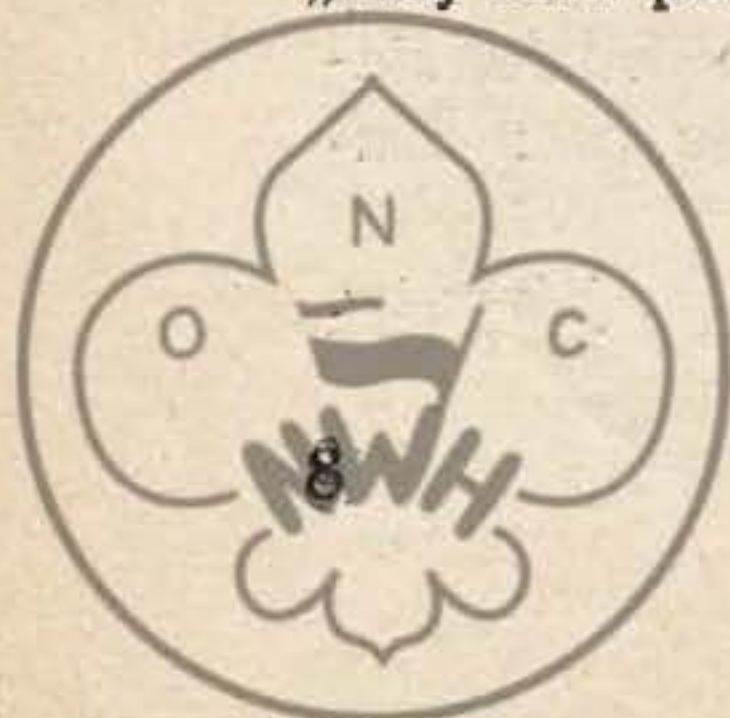
żyny ułożony jest osobny wierszyk. Ojciec Tobia, kapelan albo raczej matka drużyny, najstarszą i najcharakterystyczniejszą jest w drużynie osobą. Wysoki, o smagłej twarzy, włosach kruczych, srebrem przyprószonych i oczach żywych, zawsze wesoły i czynny, jest duszą drużyny i całego młodego towarzystwa, kręcącego się około wielkiego podwórza kościelnego. Ma tam nieraz swój ciężki krzyż, chciał już abdykować, ale w końcu musiał zostać, bo gdzieżby tam można znaleźć drugiego Padre Tobia! Gdy się instruktorzy w kwestji formalnej czy materialnej pokłóca, któż, jeżeli nie on, uratuje sytuację. Na wycieczkach, obozach wędrownych poprzez skały i zarośla nikt mu pieszo nie dorówna, a zawsze chodzi w sutannie, która potem nieraz odpowiednio do drogi przebytej opada w strzępach, stąd wierszyk w niego celujący

Na ogół melodie polskie dla Włochów są za smętne i rozwlekłe. Zrobiłem im śpiewkę na melodię „Tam na górze jawor stoi“ o wilczku, co umiera i prosi matkę, żeby go na pogrzeb ubrała w mundur harcerski, a w końcu pyta czy aniołkowie w niebie też są skautami i czy z nimi będzie mógł iść na wycieczkę. Powiedzieli mi chłopcy, że jest taka smutna, że ją tylko będą śpiewali na pogrzebie, jak który ze skautów umrze. Lepszym powodzeniem cieszyła się piosenka „Se la vita vnoi godere“. „Jak to na wojence ładnie“. Prof. Marza, główny motor Naczelnictwa, mówił mi, że kiedy ją czytał w domu żonie, musieli się śmiać do rozpuku. O efekcie ostatniej piosnki posłanej już listownie na melodię: „Hej tam pod lasem“ jeszcze się nie

dowiedziałem, choć za nią podziękowali pięknym listem, pod którym wszyscy się podpisali z odpowiednią ilością plam atramentowych. Z różnych oznak grafologicznych wnioskuję, że się przy tym ważnym akcie pobili o pierwszeństwo.

Włoskich piosenek harcerskich jest stosunkowo do ilości naszych bardzo mało, jak wogóle Włosi celują w sztuczny, operowy śpiewie, a ludowych, żołnierskich śpiewek mają niewiele i do tego dosyć jednostajne, choć znajdują się między nimi śliczne, a przede wszystkim niezmiernie żywe i pełne werwy. Miejsce naszej uroczystej „Roty“ zajmuje nerwowy dwuczwartkowy marsz „Passa la gioventie“, który przerobiłem do naszego użytku p. t. „Skauci tak maszerują“. W innej melodji „Tam pod Mefkingiem“ zdołałem umieścić całe prawo harcerskie od A do Z ku wspomnieniu pamięci tych, którzy nie mogą go sobie inaczej wbić w głowę, albo o niem w codziennem życiu zapominają. Wreszcie świeżo oddaję do ogólnego użytku i polecam opiece publiczności piosnkę zaczynającą się od słów: „Lilijkę srebrną, co my nosimy za znak herbowy“, gdzie to każdy kawałek garderoby harcerskiej, rynsztunku, zawartość kieszeni i t. d. w rytmach jest uczczony. Komu ona nie wydawała się jeszcze dosyć długą, temu zostawiam do woli uzupełnić ją improwizowanymi wierszami, byleby były przyzwoite. Wystarczy ona w marszu na kilka kilometrów. Może Szanowna Redakcja zechce te dzieci zrodzone pod błękitnym włoskim niebem wypuścić trochę na świat z dusznej szuflady.

Paulus.



Nie traćmy chwili.

*Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracona, nie wraca już.
Wzniesione czoło niech się nie chyli
Pośród życiowych wstrząśnień i burz.*

*Kiedy w umyśle zamiar powstanie,
To go niezwłocznie wcielajmy w czyn,
Bo gdy się w duszę wkrada wahanie,
Rozczepia wolę, jak ostry klin.*

*Kiedy pracować potrzeba szczerze,
To się do pracy zabierzmy wraz,
Gdy trzeba ofiar, nieśmy w ofierze
Rozum i serce, siły i czas.*

*Gdy mamy kochać, to już bez granic:
Miłość prawdziwa nie zna, co kres;
Kto szczerze kocha, nie zważa na nic
I śmiało płynie przez morze łez.*

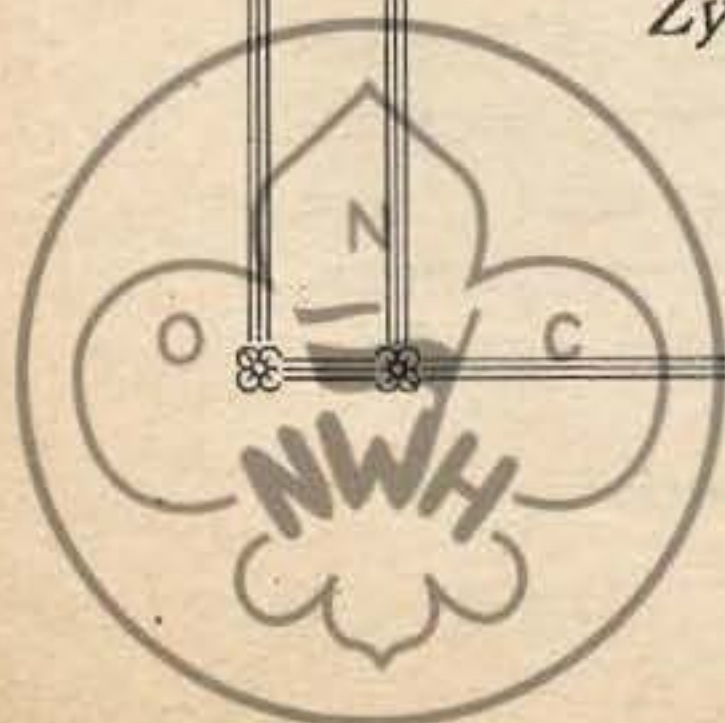
*Kiedy nas hasło wezwie do boju,
Kiedy potrzeba chwycić za broń,
Z odwagą w sercu, bez niepokoju
Wznieśmy do góry orężną dłoń.*

*Ostrożnie z ogniem! — wołają starzy
I marszczą groźnie krzaczastą brew.
Lecz myśmy młodzi, żar nas nie parzy,
Bo w naszych żyłach gorętsza krew.*

*Walczmy, pracujmy i sercem całym
Kochajmy życie, pracę i bój.
I przy zabawie pijmy z zapalem
Pełnemi usty uciechy zdroj.*

*Jak różnobarwnych roje motyli,
Krążmy nad wonnym kielichem róż...
Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracone, nie wraca już.*

Aleksander Mogilnicki.



MÓJ SEN NA WARCIE.

Las...

Prastary polski bór, pełen tajemniczości i uroku. Noc ciemna i głucha. Hen—nad drzewami widnieje niebo, iskrzące się miliardem migotliwych gwiazd.

Zza widnokręgu wychyla się roześmiana twarz księżycy. Kroczy po nieboskłonie z powagą, jak przystoi na władcę — widocznie zadowolony, że wszystko w jego państwie jest jak należy.

Powoli, poważnie płynie. Wielkimi oczyma obejmuje leśną u jego stóp ziemię.

I czuję, jak pada jego wzrok na namioty braci harcerskiej, która zjechała się tutaj ze wszystkich zakątków ziemi polskiej, aby hartując swe ciało i ducha, zaprawiać się do ciężkiej pracy dla dobra wielkiej służby.

Wokół panuje cisza uroczysta, przerywana jedynie od czasu do czasu hukaniem sowy.

Stoję na warcie i czuwam... Serce moje rozpiera dziwna jakaś tęsknota i duma zarazem. Oto czuwam nad dziesiątkami braci moich, harcerzy i jestem odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo.

Za lada silniejszym podmuchem wichru zamieniam się cały w słuch i patrzę w mroki lasu, czy wróg się jakiś nie zbliża...

— Lecz nie — cisza panuje niezmacona.

Wysłuchany w szmer lasu, upojony parną lipcową nocą i tym zapachem żywicznym, jaki wydzielają pnie drzew... zacznam marzyć...

I zdało mi się, jakoby na polanę zjechały się zbrojne hufce skrzydlatych rycerzy, zakutych całych w że-

lazo, na koniach—olbrzymach, również okrytych pancerzami.

W promieniach księżycy stalowe ich zbroice tak zajaśniały, że mimowoli oczy mrużą się od oślepiającego blasku.

Poszum drzew ustał. Słysząc tylko chrzęst pancerzy, łopotanie proporców i parskanie koni.

Już są wszyscy — każdy się stał na wezwanie wodza, czy to od wschodnich rubieży, czy od siniego Bałtyku, lub Tatr niebotycznych. — Jego tylko niema.

Więc czekają nań.

Nagle... jakgdyby na jakiś tajemniczy rozkaz poruszyły się ich zastępy... zaczęli się szykować.

Stanęli w krąg polany, w środku zaś o dziwo — łopoce się dumnie na maszcie nasz sztandar harcerski, wokół zaś, zatknięte w ziemię, szumiały na drzewach rycerskie proporce.

I nagle... w miejscu gdzie las był najgęstszy, rozstała się żelazna ściana husarji. Na wspaniałym rumaku, w złocistej zbroicy, dzierżąc w ręku miecz—ów szczerbiec, który niegdyś był postrachem wrogów, wjechał otoczony orszakiem skrzydlatych rycerzy, Chrobry.

I zdało mi się, że poznaję owe marsowe, mieczami wrogów posiekane oblicza.

A ów — najpotężniejszy, najmniejszy z pośród nich, ów pogromca Kijowa i Niemców, zajechawszy na miejsce, gdzie widniał maszt ze sztandarem naszym, przyłożył rękę do czoła...

I wówczas rozległ się wśród nocnej ciszy chrzęst przejmujący do głębi duszę. Jakby na znak, wysunęły się z pochew stalowe miecze rycerzy, na pozdrowienie tego sztandaru na



którym jaśniał w świetle księżycy z jednej strony krzyż i lilja, z drugiej Orzeł srebrnopióry.

Po chwili wódz spuścił dłoń — schowały się miecze do pochew. A zwróciwszy się do husarzy, głosem donośnym przemówił:

„Oto ziściło się tyloletnie marzenie nasze, że orły młode wylecą z gniazda i zaprawiać się będą do walki z sępami. A czujne ich oko będzie zawsze baczyło, czy gdzieś na krańcach Rzeczypospolitej nie zjawia się zuchwały wróg.

„I biada temu, któryby się odważył najechać ojczyście granice. Szponami, zaprawionymi od młodości do walki, rozedrą każdego przeciwnika.

„Po raz ostatni dzisiaj wstaliście na głos mego rogu. Znalazłem pokolenie młodych orłów, które nas zastąpi w służbie Matki—Ojczyzny! Chociaż nie w zbroi będą chodzili, tylko w zielonej koszuli, z żelaznym krzyżem na piersiach miast tarczy, a zamiast mieczy, dłoń ich dźmierzyć będzie stalowy młot pracy, którym wykuwać będą przyszłość narodu. Serce ich będzie otwarte dla każdego prawego człowieka, lecz biada temu kto z fałszem i obłudą w sercu, a pozorną przyjaźnią na obliczu dłoń do nich wyciągnie.

„Na ich barki młodzieńcze, składamy nasz ciężki i żmudny obowiązek, który oni spełnią bez szemrania. A gdy Ojczyzna znajdzie się w potrzebie, wówczas ów młot zamieni

się w prawicy ich na mój szczerbiec, na tysiące szczerbców i żaden wróg ich nie zmoże.”

Marsowe oblicza skrzydlatych husarzy zajaśniały radością i ozwali się chórem: „Obowiązek nasz składamy na was, młodzi harcierska, a wraz z nim prawość ducha naszego i męstwo prawicy naszej.”

I zmilki w ciemnościach nocy... Zdawało mi się przez chwilę, że słyszę jeszcze z oddali tętent rumaków, unoszących rycerzy...

Silniejszy podmuch wichru rozwiał moje widzenie... Spojrzałem wokoło—wszystko było, jak przedtem; białe płótna namiotów jaśniały w świetle księżycy, polana była pusta, jedynie drzewa szumiały tak potężnie, a melodyjnie, poważnie, a radośnie, jakby i one słyszały słowa rycerza i radowały się.

Przetarłem oczy. Tak—to było widzenie. A jednak słowa Chrobrego wyryły się w mej duszy niezatartymi zgłoskami.

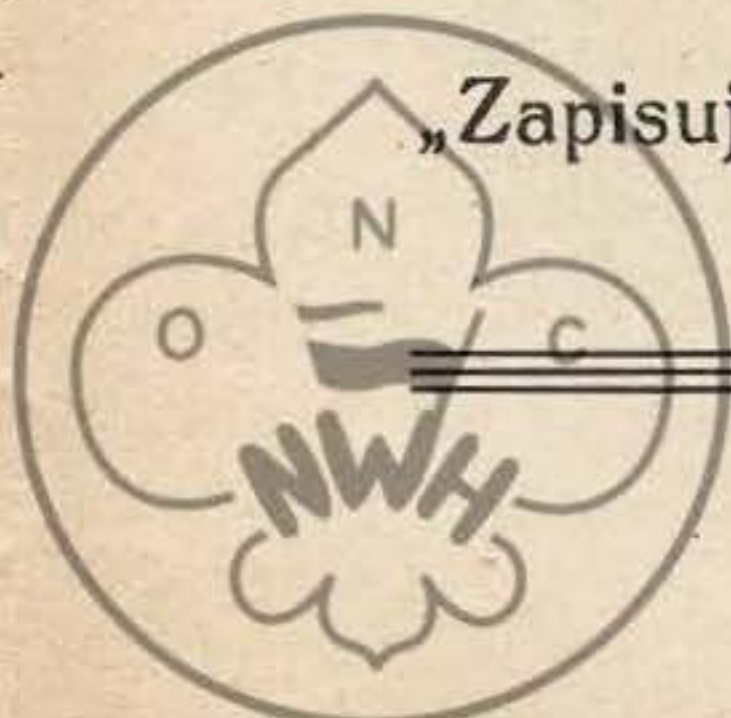
Zrozumiałem w owej chwili, jaki zaszczytny, chociaż ciężki i odpowiedzialny obowiązek spoczywa na barkach naszych.

Zrozumiałem, żeśmy rodem rycerzy—na pokoju czas i czas wojny.

A. Nowak.

oooooooooooooooooooo

„Zapisujcie się na członków Ligi Obrony Powietrznej Państwa”.



WYPRAWY POLARNE.

W dziejach ludzkości piękne karty zajmują wyprawy polarne. Piękne, bo złożyły się na nie wysiłki bohaterskie wielu ludzi i wiele pięknych czynów, wiele żyć ludzkich, poświęconych na ołtarzu nauki i sławy, na tych kartach się zapisało.

Trudno o wyższe przykłady bohaterstwa. Ludźmi, którzy szli na odnalezienie nowych dróg, na odkrycie bieguna lub na ratunek zaginionych poprzedników, nie kierował interes osobisty, ani chęć zdobycia bogactw.

Odwagę, tak bardzo nam zawsze imponującą, osiągnano tam w najczystszej, rzecz można — krystalicznej postaci.

Przyjrzyjmy się zatem dziejom tych wypraw i historjom takich ludzi, jak Franklin, Nansen, Scott, Amundsen.

Pierwsze próby.

Wcześniej się rozpoczynają dzieje wypraw polarnych. Już VIII wiek po Chrystusie jest świadkiem pierwszych podróży i wypraw na wyspy Hebrydzkie, Faroery i im sąsiednie, a dalej na brzegi Islandji przez Europejczyków przedsięwziętych.

Różniły się jednak te podróże od późniejszych zarówno charakterem swym, jak i celem. Nie były to wyprawy kupieckie, ani celem ich była sława, jaką szczęśliwego odkrywcy nowych krain i śmiałego podróżnika historia zdobi, nie było też ich przyczyną szukanie przygód, lub żyłka awanturnicza.

Podróżnikami śmiałymi, co pierwsi na te pustynie śnieżne i mroźne zaszli, byli krzewiciele nowej, Chrystusowej wiary—mnisi i kapłani.

Odmienne były późniejsze wyprawy. Przedsięwzięli je Wikingowie, do dziś dnia będący dla nas symbolem

tężyzny, przedsiębiorczości, odwagi nieporównanej. Pędzeni naprzód żądzą przygód, a zmuszani nieraz do opuszczania swej ojczyzny z powodu jej przeludnienia, lub może w chęci uniknięcia kar za popełnione w kraju zbrodnie, docierają oni do Islandji (Ziemi Lodów), którą zdobywają, wypędzając spokojnych mnichów. Tu zakładają osadę Rejkjavik.

Stąd nieustraszeni i nieustraszeni w poszukiwaniu nowych przygód, żeglują w coraz dalsze strony, docierają do Zundu Lancastra, ziemi Balffina, zaczepiają nawet (na wiele lat przed Kolumbem) o wybrzeża Ameryki.

W czasie tych podróży odkrywają olbrzymią, w lodowy pancerz skutą, wyspę, której nadają—na pośmiewisko chyba — nazwę Grenlandji (Ziemi Zielonej). Zwiedziwszy jej pobrzeża, niezniechęceni zimnem i lodami, zakładają tam kolonję.

Osada ta przez parę wieków cieszy się nader pomyślnym rozwojem. Ubóstwo flory na ziemi, wynagradza ogromne bogactwo fauny oceanicznej. Stąd rozwój handlu. Dopiero w końcu XIII wieku despotyzm władców norweskich podciął, a „czarna zaraza” wkrótce potem zupełnie zabiła dobrobyt kolonistów grenlandzkich. W kronikach wieku XV już żadnej wzmianki o nich nie znajdujemy — wyginęli zapewne już wszyscy.

I-szy okres średniowiecza.

Pierwszy okres wieków średnich—to w historii wypraw polarnych karta niezapisana. Upadek kultury, przesady, barbarzyństwo z jednej strony, a nieustanne wojny, zamieszki i walki, trzebiące ludność kontynentu i odsuwające jej zainteresowanie od dalekich i nieznanych, a śmiercią grożą-



cych wysp i krajów podbiegunowych— z drugiej ograniczyły poszukiwania żeglarskie i podróże do kilku mało znaczących wypraw.

II-gi okres średniowiecza.

Wiek XV jest wiekiem przełomowym. Odkrycie lądu amerykańskiego pobudza żeglarzy do nowych wypraw, a poszukiwanie przejścia do Indyj Wschodnich i Chin drogą północną, a więc wzdłuż północnych brzegów Ameryki, lub też północnych wybrzeży Syberji stawiają przed temi wyprawami realne napozór cele.

Kwestje przejścia północno-zachodniego, lub przejścia północno-wschodniego stają się osią, dookoła której obracają się wszelkie ówczesne projekty.

Rozpoczyna się nowa era w krajach polarnych, era wypraw niestrudzonych, niezwykle śmiałych — czasem lekkomyślnych, zawsze bohaterskich.

Wyprawy te właściwego celu swego nie osiągnęły, aczkolwiek bowiem odkryto same przejścia, ale przekonano się, że mowy być nie może o normalnych linjach komunikacyjnych tamtędy wiodących, a wiążących Europę z Indjami Wschodnimi.

Wyprawy te jednak odniosły inny, niebywalej wprost doniosłości, skutek. Oto zwróciły oczy Starego Świata na północ, zapoznały z krajami polarnymi, wypełniły większość „białych miejsc” na mapach geograficznych, dostarczyły nauce mnóstwa obserwacji, doświadczeń i badań, zahartowały całe zastępy ludzi w walce z okrutną naturą polarną, potrafiły wkońcu poruszyć do głębi społeczeństwa kontynentalne, a nawet zespolić je niekiedy („wyprawy franklinowskie”) we wspólnym usiłowaniu.

Przejdźmy jednak do samego przebiegu tych wypraw.

Początki, jak zawsze, nie były zbyt chwalebne, ani też owocne. Pierwsi pionierowie idei przejścia północno-zachodniego—ojciec i syn Cabotowie, acz z wielkim zapałem, ale z mniejszym skutkiem, wyprawiają się na zachód i docierają (na rok przed Kolumbem) do brzegów Ameryki, biorąc ją naturalnie za Azję. Wyruszają później: Thorn (po przez biegun do Chin!) i Frobisher, lekkomyślny, a niedoświadczony, „odkrywający” kopalnie złota (a naprawdę piryt) i marzący o ufortyfikowaniu Ziemi Baffina. A dalej, o wiele już poważniejsze, podróże Davisa i Hudsona; tego ostatniego podczas czwartej z kolei wyprawy zbuntowani majtkowie wrzucają wraz z synem do małej łodzi, w której obaj giną z głodu. Nieudane, a tragiczne wyprawy Munca, Foxa i Jamesa kończą ten okres poszukiwań.

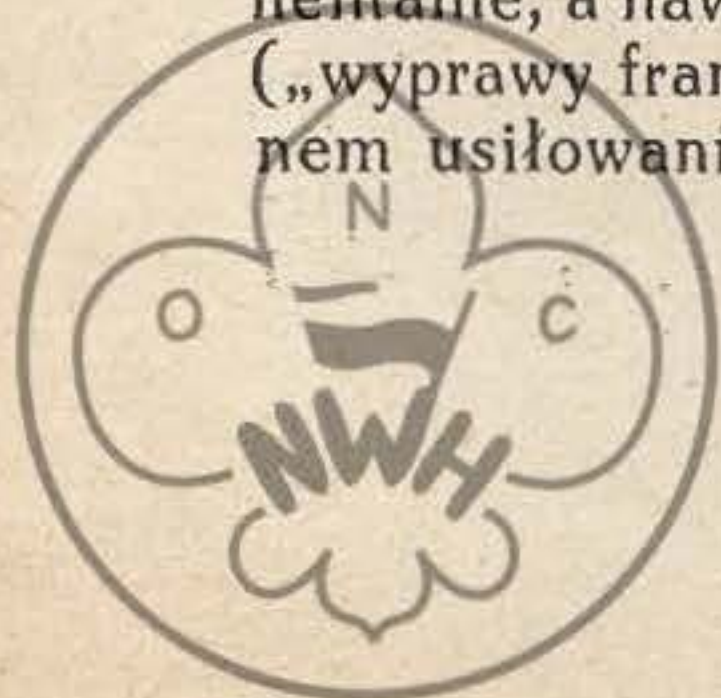
Podobne koleje losu spotykają plany odnalezienia przejścia północno-wschodniego.

Pierwsze próby czynią trzy okręty, wysłane pod dowództwem Willonghby'ego, przez angielskie towarzystwo handlowe. Nowa Ziemia był krańcowym punktem, do którego zdołano dotrzeć. Po pewnym czasie lody z morza Karskiego wstrzymują wyprawy: Burrough'a, Peta i Jackmana. Z kolei Holendrzy przedsiębiorą szereg wypraw, a jedna z nich, pod kierunkiem Barentsa, zimuje, po raz pierwszy w dziejach, na Nowej Ziemi. Podobnie i dalsze przedsięwzięcia Holendrów, Anglików i Duńczyków nie odnoszą pożądanego skutku.

Taki był przebieg pierwszych prób. Niepokonane trudności i tragiczne przejścia wielu wypraw odstraszyły podróżników na długie dwa wieki.

(C. d. n.)

R.



CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.?



Edward Kałuba

Członek Głównej Kwatery Męskiej
Z. H. P.Zginął w nurtach Wisły
w d. 17.5.25.

Aleksander Zagórski

Ś. p. Aleksander Zagórski, urodził się
3.III. 1905 w Dyneburgu.

Chłopak, obdarzony wyjątkową inteligencją, wszędzie wybijał się przez swe zalety nie tylko intelektualne, ale i charakteru.

Gdy rodzice przenieśli się do Święcian, wstępuje tam do Z. H. P., stając się jednym z organizatorów drużyny, którą prowadzi do czerwca 1921 r. Później był przybocznym tej drużyny do sierpnia t. r. W roku szkolnym 1921/22 będąc w V kl. gimn. J. Lelewela w Wilnie wstępuje do II Wil. Druż. jako szeregowiec. W czasie wakacji prowadzi drużynę w Święcianach, chwilowo pełni obowiązki hufcowego. W czasie wakacji 1923 r. zawiązuje zastęp „Kruków” w Nowo-Swięcianach i prowadzi go do jesieni t. r. W roku szkolnym 1923/24 w miarę czasu dopomaga w pracy drużynowemu V-ej Wileńskiej Drużyny. W lecie 1924 wraz z drużyną święciańską bierze udział w I Narodowym Zlocie Harcerskim w Warszawie. Do jesieni prowadzi w Nowo-Swięcianach założony przez siebie zastęp „Kruków”. Od września 1924 r. przydzielony do 7-ej Wileńskiej Druż. Harc. im. Jakóba Jasińskiego, obejmuje utworzony przez Opiekuna Drużyny nowy zastęp „Kruków” i jest jednocześnie przybocznym tejże Drużyny. Na tym stanowisku wytrwał do końca, pomimo intensywnej pracy przedmaturalnej.

W chwili nieszczęśliwego wypadku znajdował się w pobliżu sprawcy katastrofy, należąc do grupy uczniów, na których skupiło się działanie granatu. Cała katastrofa, tak szybko nastąpiła, że trudno dziś stwierdzić, czy rzeczywiście ś. p. Zagórski, jak to nie-

które pisma podały, rzucił się w obronie dyrektora. Koledzy zaręczyć nie mogą i dokładnie opisać nie potrafili. Fakiem jest, że do trzymającego granat Ławrynowicza przyskoczyli Osmałowski i jeszcze jakiś uczeń (zdaje się Symonowicz) oraz, że w chwili wybuchu ś. p. Zagórski wraz z rannym Ławrynowiczem i ś. p. Domańskim był poza ławką, na której siedział, i w pozycji stojącej zabity został przez granat (nie zaś od kuli).

Dwie zasadnicze były cechy tego ducha. Był zawsze i wszędzie harcerzem czynu i zawsze promieniował na zewnątrz. Naprawdę, ktokolwiek i kiedykolwiek, przez krótki choćby okres czasu z Nim się zetknął i miał możliwość obcowania, ten wyczuwał tę jakąś promienistość i wzniosłość tej duszy, ulegał sile Jego oddziaływania, wchłaniając w siebie niejedną promień Jego duszy, myśli, zapatrywań, pragnień.

Całą duszą kochający prawdę, nigdy ani razu z nią się nie minął. Szczerze kochający Boga i Polskę, nigdy ani razu nie zaparł się swego pochodzenia białoruskiego i wyznania prawosławnego. Duszę całą tem więcej i goręcej kochał Polskę. To jedna z najładniejszych cech Jego charakteru. Czynem stwierdził, że nie wyznanie i pochodzenie stanowią o pracy dla Polski. Obowiązkowy i pilny należał stale do uczniów lepszych. Znany jest i kochany powszechnie na terenie Święciańskim, jako organizator, reżyser i aktor licznych przedstawień a natorskich najcenniejszych utworów naszej literatury dramatycznej. Talent miał niepospolity. Jak na amatora grał po mistrzowsku. Zawsze i wszędzie śpieszący z pomocą bliźnim, sposobności niesienia tej pomocy wyszukiwał. Każdą niewolę odczuwał silnie i odpowiadał na nią czynem, miłujący i kochający wszystkich. Chciał widzieć wszystkich dobrymi i sam dał dowód trwałości i ziszczalności wielkiej idei miłości chrystusowej. Subtelny, uprzejmy, delikatny w stosunku do innych, nigdy nikomu świadomie przykrości nie wyrządził. Takim znali go wszyscy. Prawdziwy rycerz bez zmayı. Gorąco miłujący przyrodę i wszystko to, co piękne. Całą swą duszę i uczuciem brał wszystko i wyrażał nieraz w bardzo nawet ładnych i z talentem pisanych wierszach własnych. Karny zawsze i wszędzie, był wzorem syna i podwładnego.

Usta Jego zawsze i dla każdego uśmiechały się tym Jego pogodnym, jasnym uśmiechem. Dobrze z nim było każdemu. Radością życia górował nad innymi, radością

pogodną i umiarkowaną, choć warunki życia miał ciężkie. Każdemu z kim się zetknął, niewątpliwie i raźniej i weselej robiło się na duszy. Wszystkie ciężkie myśli i przeżycia, umiał schować w sobie i dla siebie.

Pracował na siebie stale, troszcząc się o rodzinę, dla której pensja ojca była zbyt szczupłą. Wiecznie zalatany i śpieszący z jednej korepetycji na drugą, ale uśmiechnięty i radosny. Oszczędzał na wszystkim zbytecznym, a łożył tam, gdzie trzeba i z pożytkiem. Nie znał, co to brud. Czystym bez słazy pozostał do końca, widząc w innych tylko dobro.

Te właściwości jego charakteru, tak prawego i szlachetnego, same za siebie mówią. Niewielki był teren Jego działalności. Niewielu miało możliwość zetknięcia się z tą wyjątkową duszą. Ale w swoim gronie działał wiele i do końca. I ta jasna, świetlana, szlachetna, piękna dusza, ten prawdziwy Harcerz Rzeczypospolitej, wśród tych, co Go znali, promieniować będzie nadal.

Ponieśliśmy przez śmierć Jego stratę ogromną i my na terenie Wilna i Z. H. P., jako całość, i Rzeczpospolita, dla której pracować tak pragnął i tak dobrze byłby umiał.

WYJĄTKI Z LISTU DRUŻYNOWEJ I. Ż. DR. W CHARBINIE.

Chiny—Charbin, dn. 6 lutego 1925 r.

Hufiec Charbiński składa się z 3-ch drużyn: męskiej, żeńskiej i wilczków. Drużynowym drużyny męskiej jest druh Wiktor Działlik, przybocznym druh Władysław Pele. Drużyna jest podzielona na trzy zastępy i pracuje, mam wrażenie, dobrze. Drużyna wilczków pracuje dość energicznie i robi postępy. Drużynowym jest druh Symonolewicz Konstanty, przybocznym Teodor Tumicki. Są to moi koledzy, uczniowie VI klasy (gimnazjum im. H. Sienkiewicza).

Drużyna żeńska jest podzielona na 3 zastępy, a liczba druchen 27. Zastępy prowadzą druhny: Ligja Działlikówna, Marja Wilkówna i Andzia Rostanówna. Wszystkie te druhny są dość dzielne i energiczne, ale pomimo to drużynie naszej dużo zarzucić można. Ale nie jest to też i naszą winą, że

drużyna jest w takim stanie, powinna ona mieć silną i dobrą opiekę. A my tego na nieszczęście nie mamy. Wprawdzie opiekuje się nami druhna kierownicza Józefa Brudzewska, bardzo szlachetna i dobra druhna, która chciałaby dla nas wszystko zrobić, ale cóż, kiedy niema oddźwięku w miejscowym społeczeństwie. Musimy jakoś pracować same—a staramy się pracować inaczej i lepiej.

Teraz napiszę trochę o Charbinie, terenie naszej pracy. Charbin jest położony nad rzeką Sungan, która długością dorównuje naszej ukochanej Wiśle, do której tęsknimy. Ale ja nigdy nie zrównam cudzej, chińskiej Sungan z naszą Wisłą.

Charbin dzieli się na 3 główne części: Przystań, Nowe Miasto i Modziagan. Oprócz tych są jeszcze i przedmieścia, których już wyliczać nie będą z obawy znudzenia Was.

Koleją chińską zawładnęli bolszewicy, ale nie pokazują jeszcze tego, do czego są zdolni, bo boją się Chińczyków. Słyszałam że wszędzie w Rosji, także i podczas inwazji bolszewickiej w Polsce burzyli kościoły i cerkwie i wogóle prześladowali religię. U nas tego niema i jestem pewna, że nie będzie. A w razie czego, (niech Bóg broni) wystąpimy śmiało w obronie Marji i będziemy walczyć pod Jej sztandarem.

W Charbinie są 3 kościoły. W Nowem Mieście jest jeden, na Przystani drugi, a w Fadziadzianie (jak śmiesznie brzmi to słowo), gdzie mieszkają tylko Chińczycy — trzeci dla Chińczyków-katolików.

Nie wiem, czy wiecie, że dużo Chińczyków nawróciło się na wiarę katolicką i przyjęło naukę Chrystusa, co bardzo mnie cieszy. Corocznie wszyscy katolicy urządzają wycieczkę do Fadziadzianu i zwiedzają tam kościół i chiński klasztor. Ponieważ procesja



taka w Chinach jest bardzo rzadkiem zjawiskiem, cały Charbin spogląda na nas z wielkiem zdumieniem. Fydzia-dziański kościół jest bardzo daleko, więc też wracamy do domu ogromnie zmęczeni. Jednakże dnia tego nie zamieniłabym chyba na harcerskie wycieczki. Bliskich wycieczek harcerskich—jakie często urządza się w naszej ukochanej Ojczyźnie—robić nie możemy, bo niema gdzie, musimy więc chodzić hen, daleko za miasto, po 7—8 wiorst.

Ale robimy to chętnie i dość często. O, jak się cieszą drużyny, gdy usłyszą, że za kilka dni będzie wycieczka, czują się wtedy w siódmym niebie. Prawda, jest się z czego cieszyć, bo co może być przyjemniejszego nad wycieczki, które są naszym jedynym urozmaiceniem życia. Szkoda, że nie możemy urządzić wycieczek na drugi brzeg rzeki, a nie możemy z dwóch przyczyn: ponieważ morze jest bardzo burzliwe i pochłania dużo ofiar i dlatego, że na drugim brzegu są chińscy rozbójnicy, zwani Chunchuzi. Chunchuzi są znani z tego, że łapią dzieci, a później sprzedają je do roboty. Dlatego niebezpiecznie jest jeździć daleko.

Mam do Was wielką prośbę. Proszę napisać coś o naszej kochanej Mateczce, bo mnie do niej bardzo tęskno i chciałabym choć cokolwiek o niej wiedzieć. Jeśli będziecie mogli przysłać mi jakąś pamiątkę, czy to kwiatek, czy listek z drzewa—czy co innego — to będę bardzo, bardzo wdzięczna.

Czuwaj!

Teofila Helena Buryszewska.

* * *

Drużny i druhowie! Mamy nadzieję, że zainteresują Was urywki tego niezmiernie ciekawego listu, który wędrował przez morza i oceany, zanim

znalazł się u nas i opowiedział o losach dziatwy polskiej w Charbinie. Mamy nadzieję, że prośba drużyny Buryszewskiej nie przebrzmi bez echa i że drużyny polskie w Charbinie otrzymają nie jeden, a cały szereg opisów polskich miast, wiosek i całego kraju—że ukażecie dzieciom polskim, oderwanym od Ojczyzny, złote polskie pola, lasy sosnowe, niebotyczne góry, ciche fale Bałtyku. Nie jeden listek i kwiatek polski zobaczą harcerze w Charbinie — poczta przyniesie im kwiatów wiele i widoków miast polskich — całe szeregi słów gorących, serdecznych. Wyślijcie do nich urywki z kronik, opisy zbiórek, wycieczek, podzielcie się wrażeniami wesołych wydarzeń — a wyświadcycie ogromną przysługę rodzeństwu zza rubieży. Adres drużyny: Chiny—M-elle Teofila Buryszewska (o ile chcecie do drużyny częściej to — Monsieur Wiktor Działik) 4 Glonka str. Polisch home —Charbin China via U. S. A.

Wydział IV. G. K. Ż.

JAK VI. W. DR. Ż. OBCHODZIŁA 3-ci MAJ.

Drużyna nasza postanowiła w tym roku obchodzić dzień 3-go Maja przez przysporzenie radości i wesołości dzieciom, które je niezawsze mają. To też w niedzielę popołudniu, zebrawszy przyrządy do gier, wyruszyliśmy do Cyklodromu na Zagórnej, na Powiślu. (Po drodze utonęła jedna chorągiewka, jest to jednak szczegół mało znaczący, o którym właściwie wspominać nie warto). Zastaliśmy na podwórzu gromadę chłopców, zawzięcie grających w piłkę nożną, pomimo mżącego deszczu. Z tego jednak powodu narazie nie mogliśmy z dziećmi przeprowadzić gier, więc po krótkim oczekiwaniu zaproszone zostałyśmy na koncert dla dzieci w obszernej sali szkoły tamtejszej. Po krótkiej przemowie



prof. Kazury, chór odśpiewał pod jego kierunkiem szereg pieśni kaszubskich, następnie wysłuchałyśmy skrzypiec i rozmaitych pieśni ludowych i żołnierskich, wykonanych solo. Że zaś na sali znajdowało się kilku rybaków-Kaszubów, przeto prof. Kazura zwrócił się do nich z krótką, serdeczną przemową, która wywołała liczne oklaski i okrzyki i wytworzyła przyjazny, ogromnie swojski i dobry nastrój. W odpowiedzi na to jeden z nich wygłosił też w kilku słowach serdeczne podziękowanie gwarą kaszubską, na końcu zaś obiecał zgromadzonym dzieciakom, że jak przyjadą na Pomorze, to je przewiezie łódką. Naturalnie było wiele okrzyków i śmiechu i wśród przemiłego nastroju chór raz jeszcze odśpiewał wszystkie piosenki.

Po ukończeniu koncertu rozpoczęłyśmy gry z dziećmi na korytarzach. Na każdą drużynę wypadło mniej więcej około 100-u dzieci; były one bardzo śmiałe i odrazu się do nas garnęły, tak, że gry szły doskonale i z wielkim animuszem. Urządzałyśmy wysścigi z piłkami, biegi i inne gry ruchowe, po ukończeniu których rozdałyśmy dzieciom pamiątkowe znaczki, co wywołało nadzwyczajne zadowolenie.

Że zaś deszcz przestał padać, więc urządziłyśmy jeszcze na podwórku „bramkową“, oraz gry bieżne, poczem, około 7-ej wróciłyśmy do domu, wesole i zadzwolone, żeśmy w dniu święta narodowego dały tym dzieciakom dużo radości i poczucie, że jest to „ich“ święto.

Czuwaj!

VI W. Dr. Ż.

HARCERSKI 3 MAJ W WARSZAWIE

wypadł niestety mniej uroczyście, niż w latach poprzednich. W defiladzie wojska i organizacji wyszkolenia rezerw wziął jedynie udział jeden oddział mieszany, złożony z harcerzy, odby-

wających specjalne ćwiczenia wojskowe. Wobec tego, że składali się nań członkowie różnych drużyn, a mundury były niejednostajne, oddział zewnętrznie prezentował się niepokaznie.

Harcerze warszawscy są trochę zasmuceni nieudanym wystąpieniem, ale nie tracą dobrej miny i gorliwie gotują się do najbliższej defilady, która pokaże Warszawie, że chorągiew stołeczna nie tak bardzo podupadła. „Harcerz” również wierzy, że przy odrobinie starania dwa tysiące zuchów nietylko na wewnątrz w drużynie, ale i wobec społeczeństwa godnie będą reprezentować Związek.

W NASZEJ GROMADZIE „WILCZĄT“.

I. Zbiórka gromady.

Ciekawiście zapewne, harcerze, jak wygląda zbiórka gromady „Wilcząt”, tych wilcząt, które, gdy salutują Wam na ulicy rozszerzają szeroko dwa palce prawej ręki zamiast je trzymać razem, jak to Wy robicie. Robią oni tak dlatego, że te rozszerzone palce mają wyobrażać czujne na wszystko uszy małego wilka.

Ale wracajmy do zbiórki. Wilczęta, gdy wchodzi do izby harcerskiej, w której odbywa się ich zbiórka, witają swego zastępowego, „Starego Wilka”, takim właśnie ukłonem i okrzykiem „Czuwaj”, a później robią wielki hałas, bo wilczęta nigdy nie są cicho. Lecz jeden krótki gwizdek Starego wilka sprowadza momentalnie ciszę. Baczność! Pada komenda: „Do gromady!” i wilczki wnet otaczają swego zastępowego półkręgiem. A toż to musi być bałagan, pomyślicie. Otóż nie! Taki szyk nazywa się u nas „kręgiem gromady” i jest zasadniczym szykiem wilczęcym. Gromada składa się z dwóch lub trzech „szóstek”, na czele których stoją „szóstkowi” i „starsze wilczki” — ich zastępcy. Szóstka zawsze stoi w ten sposób, że na jednym jej skrzydle znajduje się szóstkowy, a na drugim — starszy wilczek. Szóstki w gromadzie stoją półkręgiem według numeracji.

Gdy wilczki już stoją w kręgu gromady, stary wilk bierze do ręki laskę z chorągiewką gromady i rzuca rozkaz: „Wilczki, krąg rady!” Na tę komendę wilczki zamykają krąg dookoła zastępowego i na dany znak robią „wielkie wycie”, wołając „posta-



rajmy się, i t. d.", patrząc cały czas na swą chorągiewkę, którą zastępowy wznosi do góry. W ten sposób wilczki oddają cześć swemu sztandarowi.

Następnie robi się znowu krąg gromady, załatwia się różne sprawy administracyjne, jak sprawdzanie obecności i t. d. Później idzie śpiew. Ale nie myślcie, że wilczki tak samo śpiewają, jak Wy. Wilczki lubią rozmaitość, to też ich śpiew jest mieszaniną śpiewu, gwizdania, syczenia, mrużenia i oczywiście nie wszystko to naraz, lecz odpowiednio dobrane. Śpiewamy również harcerskie pieśni do marszu, zmieniając odpowiednio tekst, np.; „Bracia wilczki, dosyć kursu...” lub, „A kto chce rozkoszy użyć, do gromady idzie służyć...”.

Gdy się już dosyć naśpiewamy znowu — „wilczki, krąg rady” — „w prawo zwrot” — „naprzód w trop”. W naszym wilczęcym języku „w trop” znaczy „marsz”. Idąc tak wokoło Starego wilka, wilczki powtarzają chórem w takt marszu swoje prawa: „Wilczek ustępuje staremu wilkowi. Wilczek jest nieustępliwy wobec siebie samego”. O ile już wilczki złożyły przyrzeczenie wilczęce, powtarzają również jego tekst:

„Przyrzekam uczynić wszystko, co jest w mojej mocy, aby być wiernym Bogu, Ojczyźnie i Prawu wilczęcej gromady, aby codzień wyświadczyć komuś dobry uczynek”. To chórem powtarzanie Prawa i Przyrzeczenia robi się na każdej zbiórce, żeby mieć je zawsze w pamięci.

Pada komenda — „rozejść się” — „wilczki, siad!” — i już wszyscy siedzą wokoło Starego wilka i słuchają gawędy. Tą gawędą może być jakieś opowiadanie historyczne lub z życia zwierząt, podania ludowe, urywek z „Księgi Puszczy” Kiplinga lub czegoś innego. Bywa też, że zastępowy mówi o tem, jakim wilczek być powinien, o Har-

cerstwie, i t. p. Gawęda trwa nie dłużej niż 15 minut.

Po gawędzie robimy t. zw. „taniec”, zwykle odpowiadający treści gawędy. Tak naprzykład na ostatniej zbiórce przeczytał zastępowy humorystyczne opowiadanie przygody tygrysa z kapeluszem (z „Bajek” Sieroszewskiego), a po gawędzie wilczki zainscenizowały akcję z tego opowiadania.

Po tańcu o ile jest pogoda idziemy na podwórko, albo do ogrodu. W tym celu zastępowy robi krąg gromady, a następnie podaje komendę: „kierunek podwórko, gromada za pierwszym szóstkowym w trop!”. Pierwszy szóstkowy, a za nim jego szóstka, idzie we wskazanym kierunku, drugi szóstkowy prowadzi swoją szóstkę w trop pierwszej. Na podwórzu robimy gry ruchowe, poczem jedna minuta głębokich wdechów i w tym samym porządku idziemy do izby.

W izbie zastępowy, rzucając odpowiednie pytania, sprawdza dotychczasowe wiadomości wilczków z dziedziny techniki wilczęcej, potrzebnej do stopnia I-ej lub II-ej gwiazdki, a więc; węzły, wywieszanie sztandaru, strony świata i t. p. Na zakończenie zwołuje wilczki do gromady i daje im zadania domowe, jak naprzykład; narysować plan pokoju, dowiedzieć się o rozkład jazdy danego tramwaju i t. p.

„Wielkie wycie” przy podniesionej chorągiewce, a następnie zwinięcie jej kończy zbiórkę.

Tak wygląda mniej więcej zbiórka w naszej gromadzie „Srebrnych Wilcząt”, o tem jak wygląda u nas wycieczka napiszę następnym razem. Zapewne w innych gromadach jest inaczej, bo wilki różnią się od siebie. Niech Stare wilki napiszą. Zobaczymy.

Srebrny wilk.

z „Trzynastki” warszawskiej.

KĄCIK ZASTĘPOWYCH.

Energiczne zastępowe mają czasami skłonność wykonywania całej pracy i niepozostawienia biednym „dwójkom” pola do działania. Zastępowy i „dwójka” winny być przyjaciółkami w innym stopniu, niż zastępowy i zastęp; powinny widywać się często i razem układać projekty, prowadzić zawody etc. Zastępowy, która wykonywa to wszystko sama, nigdy nie wychowa „dwójki” na praw-

dziwą współpracowniczkę i pomocnicę i nieraz straci dobrą okazję przez nieporadzenie się z nią. „Dwójka” czuje, że jest czemś więcej, niż zwykłą harcerką. Jakaż korzyść płynie z jej tytułu, jeśli nie wykonywa części kierowniczej roboty i nie odczuwa płynącej stąd radości. My, zastępowe możemy stworzyć pomocnice, lub „malowane lalki” z naszych „dwójek”. Naturalnie, że każda z nas winna dążyć do pierwszego. Innym przy-

kładem złego stosunku tych 2-ch „władz“ zastępu jest taki zastęp, gdzie zastępowa robi mało i cały ciężar pracy spada na „dwójkę“. Zastępowym, które mają w swych dwójkach pomocnice, gotowe w każdej chwili zająć ich miejsce, należy się najwyższe uznanie, w tem bowiem

leży klucz powodzenia całej pracy, tym zaś, które mają tylko „t. zw. dwójki“ należy poradzić, by jak najprędzej omówiły z niemi wszystkie sprawy zastępu i wezwały je do pomocy, a wkrótce staną one na wysokości zadania.

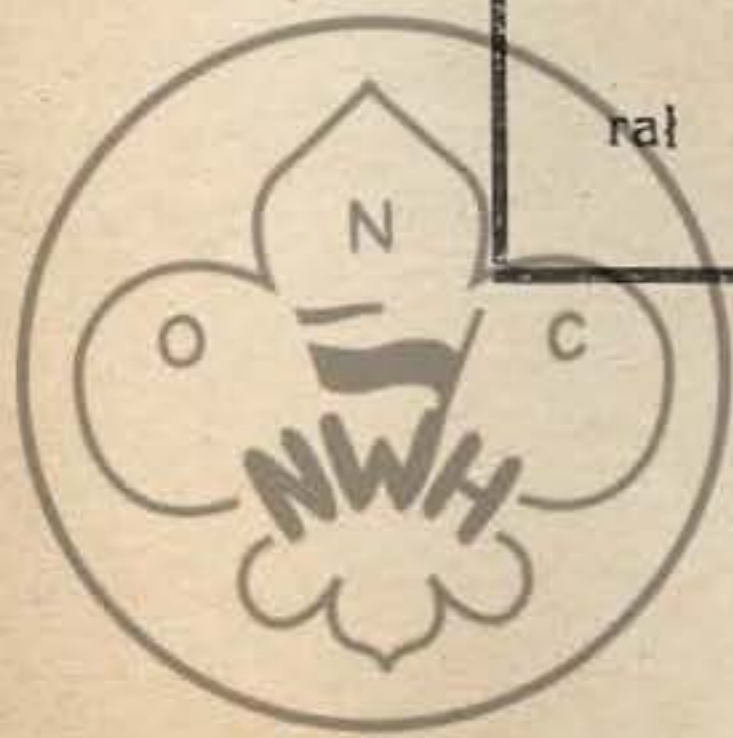
R. A.

REBUS KONIKOWY.

Z przytoczonych 64 zgłosek ułożyć urywek z „Pana Tadeusza“. Za najlepsze rozwiązanie tego zadania przeznaczają redakcja, jako nagrodę, półroczną prenumeratę „Harcerza“.

Termin do 15 czerwca.

Pod	wał	dził	co	nef	ob	za	chu
wstrzy	raz	lor	nić	dow	czy	kę	wie
się	cho	my	winie	i	cie	stką	to
spo	ksa	zmie	ne	się	cu	wał	prze
bo	ślicz	bli	a	bot	zgi	gdy	to
mit	zie	bę	nać	dę	ten	i	sko
ne	al	mia	sko	do	to	by	po
rał	traw	wi	dzież	łoż	dej	wi	mak



ZGUBIONY GUZIK.

— Sądzę, że uda mi się z powrotem uzyskać plany! — powiedział stanowczo. Przedewszystkiem, ilu z pańskich współpracowników mogło otwierać i zamykać kasę?

— Żaden z nich! — fuknął zirytowany Roges.

— Przeciwnie, sądzą, że wszyscy — podkreślił Darrell. — Przy cierpliwości i staranności dowiemy się wszystkiego o tej kasie, czyż pan nie jest tego samego zdania? (Ustępując pokusie, przecież każdy z pańskich urzędników byłby do tego zdolny, gdyby się tylko nadażyła sposobność.

— Nedorzecznosc — wypalił inżynier.

— Niemniej jednak myślę, że był tu t. zw. przez policję domowy złodziej — ciągnął Darrell. — Przecież, z wyjątkiem jednego błysku światła, który go zdradził, złodziej przez cały czas działał w zupełnych ciemnościach. Kradzież w takich warunkach nie mogła być dokonana przez obcą osobę. Również trzeba rozważyć sposób ucieczki! Starszy wartownik mówił panu, że zbieg zniknął przy kotłowni. Wszystkie normalne wyjścia były obstawione i — jedynie możliwą była droga przez kotłownię i połączoną z nią budką zwrotniczą. Nikt panie, obcy nie odważyłby się tam wejść!

Sir Roges powątpiewająco wzruszył ramionami

— Przypuszczenie pana ma jednak pewien sens, kogo pan zatem podejrzewa i co pan zamierza robić.

— O której godzinie pańscy urzędnicy wychodzą na drugie śniadanie? — zapytał Darrell.

— O 12.30 — krótko odpowiedział inżynier — powracają o 2-iej.

Darrell wyjął z kieszeni kamizelki duży guzik od palt.

— To jest podstawa mego działania, — tłumaczył — został on zgubiony przez złodzieja ostatniej nocy!

— Z pewnością ten ostatni zauważył jego nieobecność — bąknął Roy. — W chwili obecnej jest on już napewno zamieniony przez inny.

— Czy jest to jakiś specjalny typ guzików — zapytał Roges i ciekawie spojrzął na trzymany przez Darrella guzik.

N — Przeciwnie, bardzo pospolity, łatwo zamienny typ — wesoło odpowiedział detektyw. — Fakt ten niezmiernie podnosi jego wagę. Przed chwilą przeglądałem palt,

wiszące w szatni. Było tam dziewięć palt, z których sześć miało takie same guziki.

— Z pańskiego rozumowania wynika, że sześciu na dziewięciu moich urzędników, znajdzie się pod zarzutem kradzieży, — powiedział ironicznie inżynier. — Pan prawdopodobnie również stwierdził, że wszystkie palt miały normalnie guziki!

— Naturalnie! — odpowiedział pewnie Darrell. — O dwunastej jednak udam się znowu do szatni i od każdego z sześciu palt odetnę po jednym takim guziku.

— Mówisz pan, panie Darrell, jakbyś był obłąkanym. Nie wypowiadam jednak jeszcze swego ostatecznego zdania, dopóki masz pan nadzieję odzyskania planów — powiedział Roges.

Powróciwszy zaraz po drugiej do gabinetu inżyniera, Darrell oznajmił Royowi, że większość odciętych guzików została już zastąpiona przez inne analogiczne.

— Czy jest pan zadowolony ze swojej sztuki? — zapytał złośliwie inżynier, wydając równocześnie na prośbę Darrella polecenie wezwania do gabinetu kolejno wszystkich podejrzanych urzędników.

Pytania detektywa były krótkie i identyczne co do treści. W rękę zaś trzymał on stale znaleziony poprzedniej nocy guzik.

— Czy to jest pański guzik — pytał. — Czy też może pan wie, z czyjego palt został on oderwany?

Różne stopnie zdziwienia, malujące się na twarzach urzędników, mogłyby zabawić niejednego. Roy i Roges zrozumieli fortel Darrella, dopiero po otrzymaniu przez tego ostatniego pierwszej odpowiedzi.

Oczy inżyniera błyszcząły radośnie. Dokładnie zdał on sobie sprawę z drażliwej pozycji, w jakiej musiało postawić złodzieja pytanie Darrella. Wiedząc, że zgubił on guzik w nocy podczas kradzieży, dołoży wszelkich starań, aby nie dać pytającemu jakiegokolwiek podstawy do supozycji jego winy.

Zastępując zgubiony guzik przez inny podobny, mógł on oczekiwać, że wszelki ślad przestępstwa został zafarty. Skoro zatem spostrzegł brak guzika, celowo odciętego przez Darrella przed śniadaniem, z pośpiechem zastąpił go przez inny, obawiając się, aby przypadkowy wypadek nie mógł stać się podstawą do powiązania jego osoby z kradzieżą, która inżynierowi wydawała się tak trudną do wykrycia.

Z drugiej strony wszyscy niepoczuwający się do winy urzędnicy, chociaż uznają pytanie Darrella za dziwne, nie będą mieli powodów do zaprzeczenia własności guzika, widząc zaś go podobnym do tego, jaki zgubili rano, zażądają bez wahania jego zwrotu.

— Tak, to jest mój! — oświadczył pierwszy. — Zgubiłem dzisiaj taki sam guzik, ale podczas drugiego śniadania matka przyszyła mi inny.

— Dziękuję panu, — odpowiedział ze spokojem Darrell. — Chociaż jest on podobny, nie jest to pański guzik.

Po wyjściu urzędnika inżynier zwrócił się do Darrella ze szczerym podziwem. Ależ to jest znakomity plan — powiedział z przejęciem.

Następnych dwóch urzędników powiedziało mniej więcej to samo, co pierwszy, i Darrell odesłał ich bez zwłoki. Dalszych dwóch nie zauważyło zguby guzika, wysłani jednak do szatni, celem sprawdzenia stanu swoich palt, powrócili z żądaniem oddania im guzika.

— Dziękuję panu, ale ten guzik nie jest pana — znowu każdemu z nich odpowiadał Darrell.

Szóstym i ostatnim urzędnikiem był Robert Wentron, dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Jego śmiałe i pewne ruchy wyraźnie odbijały od kłopotliwego wahania tych, którzy wchodzili przed nim. Z zupełnym spokojem spojrzął on na guzik, trzymany przez dedektywa.

— Nie, panie, to nie jest mój guzik — stwierdził stanowczo.

— Czyż guziki na pana palcie nie są identyczne? — nastawał Darrell.

— Jest to przecie bardzo pospolity rodzaj guzików! — rzekł Wentron.

— Proszę się udać do szatni i obejrzeć swoje palto — dorzucił inżynier. — Możliwe, że pan zgubił guzik i jeszcze pan tego nie zauważył.

Po dwóch minutach Wentron powrócił do gabinetu.

— Tak, jak sądziłem, wszystkie guziki przy moim palcie są na miejscu — oznajmił. Bezwątpienia byłbym zauważył, gdyby któregoś z nich brakowało.

— Zatem w danej chwili nie mamy już nic do powiedzenia panu — oświadczył z flegmą Darrell. Urzędnik wycofał się do biura.

— Mamy Wentrona w naszym ręku! — powiedział dedektyw, skoro inżynier skierował na niego niespokojne wejrzenie.

— Czyż naprawdę? — zapytał zirytowanym głosem Roges. — Dlaczegoż zatem, do diabła,

nie aresztowaliście go?! Teraz napewno, porównawszy wszystkie zadane urzędnikom pytania i odpowiedzi, Wentron domysli się, że mamy go w podejrzeniu.

— Gdybyśmy go byli natychmiast aresztowali, bylibyśmy się napewno skompromitowali — tłumaczył Darrell, ponieważ skradzione plany napewno dobrze zostały przez niego ukryte, o ile on ich dotychczas nie sprzedał. Przedewszystkiem musimy się dowiedzieć, gdzie się one znajdują. Proszę o adres Wentrona.

Po otrzymaniu żądanego adresu, Darrell zwrócił się do Roya:

— Zadaniem twojem będzie śledzić Wentrona, aż do dalszych rozkazów. Ten ostatni spodziewa się śledzenia i robi wszystko, aby zmylić naszą czujność.

ROY NA TROPIE.

Było po piątej, kiedy Royowi polecono udać się za podejrzanym. W przyzwyczajonej odległości podążył on za Robertem Wentronem aż do № 64, Atterby Street, — był to adres, podany Darrellowi przez inżyniera. Przeszło godzinę chłopak oczekiwał w pobliżu, wreszcie, gdy się zupełnie ściemniło, Wentron wyszedł na ulicę i skinął na przejeżdżający taksis.

Wentron zbliżywszy się do szofera, przyciszonym głosem wydał mu instrukcje. W pobliżu nie widać było żadnego pojazdu, to też Roy musiał działać szybko. Skoro samochód ruszył z miejsca, uczepił on się z tyłu samochodu, słusznie mniemając, że Wentron jedzie niedaleko. Pozycja, w jakiej się znajdował Roy, była zarówno niebezpieczna, jak i niewygodna, to też chłopak był szczerze uradowany, gdy samochód zatrzymał się.

Dedektyw zczekał, aż jego klient zapłaci szoferowi i dopiero wówczas zeskoczył, gdy Wentron skierował się w boczną, wąską uliczkę. Nauczony poprzednim doświadczeniem nie pobiegł on wprost za Wentronem, lecz pospiesznie zabiegł mu drogę inną, równoległą ulicą.

Idąc naprzód Roy z radością spostrzegł spieszącego za sobą Wentrona, który stale rzucał za siebie trwożliwe spojrzenia. „Prawdopodobnie jest on mocno zdenerwowany”, pomyślał Roy.

Wreszcie, widocznie zadowolony z tego, że nikt go nie śledzi, Wentron począł posuwać się swobodniej. Roy stwierdził, że śledzony urzędnik posuwa się w kierunku składu lokomotyw. I — chwila zdziwienia i triumfu — skierował się do bramy. Fabryka



lokomotyw — co to być może? Czyż plany są tam jeszcze ukryte.

Ulica była zupełnie pusta i Wentron więcej się nie wahał. Zaledwie zniknął w bramie, Roy pędem pobiegł w tymże kierunku. Nie docenił on jednak przebiegłości Wentrona, który skrył się właśnie w cieniu za drzwiami. Roy, wbiegając do bramy, spostrzegł ruch spadającego ramienia i w następnej sekundzie poczuł bolesne uderzenie żelaznym prętem.

To Wentron, poznawszy w ostatniej chwili, że jest ścigany, uznał za jedyne wyjście użycie gwałtu. Tę drogę istotnie wybrał, a, uwolniwszy się w ten sposób od Roya i stwierdziwszy, że ten został tylko ogłuszonym, pospiesznie skierował się do kotłowni. Wartownik przy bramie nie zatrzymał go, również mało potrzebował obawiać się grupy robotników z nocnej zmiany siedzących w czytelnicy, przez którą musiał przechodzić.

Idąc w kierunku kotłowni, czuł dreszcze, jakie wstrząsały całym jego ciałem. Niewyraźne w ciemnościach kontury kotłów wydały mu się podobnymi do jakichś przedhistorycznych potworów, grożących mu zagładą. Całym wysiłkiem woli powstrzymał się od wydania okrzyku przerażenia. Uspokoiwszy się nieco, począł posuwać się naprzód w kierunku napół ustawionego zbiornika, stojącego w rogu.

Raz potknął się o jakiś przedmiot, leżący na ziemi; hałas stąd powstały wydał mu się przerażającym. Wreszcie po kilku minutach dotarł do upragnionego celu. Zagłębiwszy drżącą ręką w kotle, przez jakiś czas szperał w nim, wreszcie z wesołym westchnieniem triumfu i ulgi wydobył paczkę, którą tam schował poprzedniej nocy.

Mniej więcej w tym samym czasie Roy odzyskał przytomność. Razem z nią do twarzy jego napłynęła fala wstydu, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Zerwawszy się z zawrotem głowy pobiegł w kierunku kotłowni, pamiętał bowiem, że tam właśnie zniknął Wentron poprzedniego dnia.

Kotłownia była pogrążona w ciemnościach. Nagle oczy Roya olśnił silny blask elektrycznego światła. Zatrzymawszy się na chwilę w wielkich drzwiach budynku, spostrzegł on na środku sali Wentrona, który nerwowo przyciskał do piersi skradzione papiery. Zęby jego szczękały z przerażenia; zdawało się, że lada chwila zemdleje.

Pomiędzy nim, a Royem stał mężczyzna w brudnej, robotniczej bluzie, w rękę jego lśniła stalowa lufa pistoletu, skierowana w piersi złodzieja.

— Darrell — zawołał zdumiony Roy. Detektyw jednak ani na chwilę nie spuścił baczności z twarzy złodzieja.

— Czy to ty, Roy? — zapytał. — Zamknij zatem drzwi!

Przez chwilę zdawało się, że Wentron w rozpaczy szydzi z pistoletu. Nagle napięte jego nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i z ciężkim westchnieniem upadł na ziemię.

— Zabierz plany, Roy! — polecił spokojnie Darrell. — Ja zaś sprawdzę jeszcze, czy jest on naprawdę chory.

* * *

Następnego dnia w gabinecie głównego inżyniera Darrell wyjaśniał szczegóły.

— Goniony pierwszej nocy Wentron, obawiając się, aby go nie pochwycono z planami, był zmuszony ukryć je. Dokonawszy tego, oddalił się z terenu fabrycznego. Dalszym zadaniem było zabranie ukrytych planów. Nie odważył się on tego zrobić w dzień, kiedy w kotłowni pracowali robotnicy. Dla ustalenia faktu kradzieży musiałem złapać Wentrona z rzeczowymi dowodami w rękę — ciągnął detektyw. — Próba z guzikami, chociaż wiele nam mówiąca, mogła nie wystarczyć sądowi.

— Miał on obiecaną ogromną sumę pieniędzy przez agentów kompanij zagranicznych — dodał p. Roges. — Wyznał, że żądza pieniędzy była silniejszą od jego woli.

— Bylem przekonany, że skoro tylko Wentron spostrzeże, że jest podejrzan — opowiadał Darrell — postara się pozbyć jak najprędzej niebezpiecznych dla siebie planów. Spodziewałem się również, że ukrył je pierwszej nocy, gdzieś w pobliżu. Z tego też względu wysłałem Roya, aby go pilnował, wiedząc, że Wentron będzie tego oczekiwał. Roy mniemał, że pozostawiłem go samego w pilnowaniu — Wentron prawdopodobnie sądził to samo. Dlatego też, załatwiwszy się z Royem, czuł się zupełnie bezpieczny. W tym samym czasie przebrałem się za robotnika i zasiadłem w kotłowni. Resztę panowie już wiecie.

— Jednym słowem użył mnie pan za przynętę — smutnie zauważył Roy. Detektyw, śmiejąc się, skinął głową.

— Pozostaje zatem sprawa pańskiego honorarjum, p. Darrell, — zauważył p. Roges. — Może pan być zupełnie pewny, że nasze Towarzystwo potrafi panu należycie się odwdziżyć. Ja ze swej strony najserdeczniej przepraszam, że zbyt pochopnie osądziłem pańskie zdolności.

— Ależ drobnostka — grzecznie przerwał detektyw.

K O N I E C.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor: T. Uhma.

Druk. p. f. „LECH“, Sp. z o. o., Koszykowa 33, Tel. 403-66.

